

— Tych oto... które sam upakowałeś na dnie swojej walizki, a następnie ukryłeś starannie u swego kolegi i przyjaciela w lesie Senonches.

Mikołaj podniósł się z krzesła powoli i zbliżył się do biurka.

— Przepraszam — rzekł z instynktowną grzecznością, pochylając się, aby uważniej przyjrzeć się akcyom.

Deverrier cofnął się nieco w tył, nie powstając jednak z fotelu.

Oczy jego i oczy obu urzędników policyjnych, pełne nieufności, nie opuszczały obwinionego ani na sekundę. Wszyscy trzej, zwracając baczną uwagę na każde jego poruszenie, przygotowani byli w razie potrzeby poskromić wszelki akt gwałtu z jego strony.

Lecz dozorca nie myślał o gwałcie.

Wyprostował się na nowo i rzekł śmiało pewnym głosem:

— Nie znam tych papierów... Nie należą do mnie... Nie miałem ich nigdy w posiadaniu... nie dotknąłem się ich nawet... i nie włożyłem do mojej walizki!

Energiczny ton mowy Mikołaja, pełen szczerości, wywarł wrażenie na słuchaczach, chociaż wszyscy trzej byli dla niego jak najgorzej usposobieni.

Guillaume poskromił mimowolny gest niecierpliwości.

— Szkaradna sprawa! — myślał. — Człowiek porusza się ciągle jak w ciemnej mgłę... Każdy trop wydaje się równie dobry... jak fałszywy...

Deverrier zaś wygłosił przekonanie, podzielane przez wszystkich w biurze zgromadzonych.

— Jednakże jesteśmy zupełnie pewni, że akcyje znajdowały się w walizce... a same przecież nie dostały się do niej!

Tymczasem myśli, które po spostrzeżeniu i rozpoznaniu walizki, tak gorąco zajęły Mikołaja, oświeciły jego umysłem na nowo.

— Błagam — rzekł tonem, pełnej niepokoju prośby — racz mi prawdę powiedzieć... czy to moja żona oddała panu walizkę?

Deverrier wahał się chwilę, lecz nagle po zastanowieniu się, rzekł tonem stanowczym:

— Tak!

Nerwowe drżenie zatrzęsało całem ciałem dozorca i przeciążył jęk wyrwał mu się z piersi.

— Więc pociewał niema dzienników... przeczytała je... i zatrzymała przy sobie!

Deverrier zawołał teraz żwawo:

— Cóż znowu jakąś historią o dziennikach zawracasz mi pan głowę?

Sempuis spojrzał na niego wzrokiem pełnym frasunku.

— Och! że panu powiem prawdę to mało mnie obchodzi... tylko przed Ludwiką ukryć ją chciałem... Biedna mała! Bała się mnie i bez tego strasznie... a teraz nie będzie mogła patrzeć na mnie!..

— No! wytłumacz się pan już raz do licha? Dosyć mamy tych zagadek! — zawołał, do ostatecznego zdenerwowania doprowadzony Deverrier.

Sempuis poruszył ramionami, jak człowiek ciężko znudzony.

— Co panu po starych dziejach takiego jak ja biedaka!... Ha! powiem jednak... Gdy byłem w Tonkinie, miałem straszną przygodę!... Na myśl o niej i teraz cierpnę cały!... Zakochałem się w pięknej dziewczynie krwi mieszanej, istnej dyablicy... i pewnego dnia, gdy przekonałem się, że mnie zdradza... udusiłem ją!

— Och! och! — szepnął Deverrier spoglądając na urzędników policyjnych.

— Rodzina jej narobiła wrzawy... Zaareztowano mnie... Dzienniki miejscowe rozpięły się szeroko o całej sprawie. Podały na swoich szpaltach moją fotografię... Wywlekły na jaw wszystkie szczegóły... Lecz w sądzie wojennym, gdy zajrzano do mego stanu służby, a przekonano się, jak wzorowym byłem żołnierzem... że wszystkie moje obowiązki spełniałem punktualnie, że nie upijałem się nigdy, że odznaczyłem się w kilku utarczkach z nieprzyjacielem, że cztery razy wymieniony byłem zaszczytnie w rozkazach dnia i przedstawiony do me-

dal, a nawet do krzyża legii honorowej... sprawa została umorzona dla braku dowodów...

— A kobieta uduszona?

Sempuis machnął ręką.

— Och! dla uczynienia zadość sprawiedliwości i zadowolenia wszystkich znalazł się lekarz, który złożył świadectwo, że zmarła na udar apoplektyczny.

Deverrier zastanawiał się czas pewien w milczeniu, poczem rzekł:

— To wszystko jednak nie tłumaczy wzruszenia, jakiego pan doznałeś przed chwilą?...

Mikołaj odparł:

— Czy pan nie rozumie, że obecnie mam młodą żonę, którą kocham całą duszą... Jeśli zaś ona z dawnych tonkińskich dzienników, znajdujących się w walizce, dowiedziała się, że zabiłem niegdyś kobietę... ona, która już przedtem, ile razy wzięłem ją w objęcia, trzęsła się ze strachu... to, pojmuje pan, że teraz odepchnie mnie ze wstrętem!... Ach! to moja wina!... Trzeba było być waryatem, żeby przechowywać wszystkie owe szkaradne papierzyska!



— To moje! To do mnie należy! — krzyczał zdławionym głosem.

Lecz czyż mogłem przypuścić, aby Ludwika ośmieliła się nie usłuchać mego rozkazu... Nie! Ona miałaby otworzyć moją walizkę! To rzecz niemożliwa!... Musiał ją do tego nakłonić jakiś łotr policyjant... a może zmusił ją nawet!...

Pisarz sądowy rzucał na sędziego śledczego rozpaczywe spojrzenia. Przewlekająca się indagacja, popadała coraz bardziej w chaotyczną niejasność.

Deverrier, nożem do przecinania papierów z niecierpliwością stuknął w biurko.

— Pańskie sprawy małżeńskie nie interesują mnie wcale — zawołał suchym tonem. — Wróćmy do papierów Laborda, jeśli łaska!... Czy przyznajesz pan, że je włożyłeś do walizki?

— Nie! — krzyknął Sempuis podniesionym głosem.

— W takim razie, wytłumacz nam, w jaki sposób się w niej znalazły, to fakt, nie ulegający wątpliwości i nie dający się zaprzeczyć!

— Nie wiem... nie wiem...

— W jakich warunkach napelniałeś pan walizkę?

Sempuis zastanowił się na moment, potem rzekł:

— A więc... postanowiłem żonę wyprawić z domu, bo mi chodziło, aby mimowolnie nawet nie oczko-

wała z włóczącymi się ciągle po zakładzie agentami bezpieczeństwa publicznego, dziennikarzami i rozmaitego rodzaju ciekawskimi... Bóg jeden wie, ile tego codziennie dzwoniło do wrot naszego zakładu!... Ludwika jest uczciwa i skromna, lecz słaba, jak każda młoda kobieta. Więc pewnego wieczora oświadczyłem jej, że będzie musiała udać się do moich przyjaciół... a ponieważ spostrzegłem, że to jej w smak nie poszło, więc zabrałem się sam do upakowania rzeczy...

— Mów pan o walizce!

— Załatwiwszy się z kufrem, zabrałem się do walizki i napełniłem ją mymi starymi drobiazgami z dawnych czasów, mając wciąż na myśli, że wkrótce opuszczę zakład, a nie chciałem, aby przy przyszłej przeprowadzce wszystko to rozleciało się po świecie. Więc wydałem w tym względzie polecenie Maurycemu Berthaut, przekonany, że u kolegi mego Lavourie, leśnego w Senonches, pamiętki z lat minionych będą ukryte bezpiecznie...

— Dlatego do wspomnień z przeszłości, dołączyłeś pan produkt świeżej kradzieży?

Sempuis nie wzruszył się, słuchając słów powyższych, tylko zaprzeczył im machnięciem ręki.

— Nic nie ukradłem!... A bardzo sprytny byłby ten, kto by zdołał mi dowiedzieć, że w jakikolwiekby sposób wmieszany jestem w sprawę zamordowania doktora Manescault i jego pacjenta.

— A jednak skradzione akcyje, przyczyna morderstwa, znajdowały się w walizce przez pana samego upakowanej i przez pana samego na klucz zamkniętej, a powierzonej również tylko przez pana samego Maurycemu Berthaut... Otworzyła ją zaś żona pańska! Chyba nie oskarżasz jej o ukrycie w walizce tych kompromitujących papierów?

Sempuis krzyknął z oburzeniem:

— Moja żona?!... Ach! panie sędzio, nie wspominaj o niej nawet, gdy chodzi o coś podobnego!

— W takim razie, jeśli nie ona i nie pan, to któż ma być tym, który ukrył papiery w walizce?

Sempuis zadumał się głęboko.

Nagle myśl, jak błyskawica, przeleciała mu przez głowę.

— Proszę pana... przypominam sobie, że w chwili, gdy napełniałem kufer... a walizka, jeszcze na wpół pusta, stała otwarta... wszedł wówczas ktoś do pokoju...

— Kto?

— Jakóbek, służący doktora Jintot.

Deverrier, rzucił pytające spojrzenie w stronę komisarza policyi Guillaume, który zrozumiałwszy je, spiesźnie mu przypomniał:

— Jest to chłopiec na wpół głupi, rodzaj idyoty!... Pan sędzia próbował go badać o doktora Jintot, lecz bez rezultatu, chociaż chłopak zdawał się uległy i potulny, a nawet dość rozsądnie odpowiadał na zadawane mu pytania.

Sędzia skinął głową.

— Przypominam sobie...

Poczem zwrócił się do Sempuis'a i zapytał:

— Czy go pan oskarżasz o włożenie akcyi do walizki?

Mikołaj wahał się chwil kilka.

— W takim razie, panie sędzio, należałoby przypuścić, że doktor Jintot polecił mu to uczynić... bo chłopak w domu, nie spełni nigdy niczyjego żądania, chyba, że otrzyma rozkaz od pana asystenta, albo od naszej pani...

— Czy jest dość intelligentny, aby mógł tego dokonać? A przytem, czy jest dość zręczny, aby plik tak znacznej grubości wsunąć do walizki, bez zwrócenia na siebie pańskiej uwagi?

— Och! co do zręczności, nikt z waryatami równać się nie może! Najsprytniejszego człowieka łatwo wyprowadzą w pole... Nie mają rozum, za to posiadają malpiałą przebiegłość!... Niezawodnie mógł... Jeśli doktor, który był rodzajem boga dla Jakóbka, kazał mu ukryć akcyje w mojej walizce, to spryciarz to uczynił w taki sposób, że się nie spostrzegłem!... Przypominam sobie nawet, że kręcił się po pokoju, gdy do kufra pakowałem koszule i spodnice mojej żony...

(Dalszy ciąg nastąpi)